

## **Niech to się wreszcie skończy**

Kiedy zapytano w szpitalu ledwie żywego młodzieńca, gdy odzyskał w końcu przytomność, dlaczego wyskoczył przez okno, przecież mógł się zabić, zaskoczonym lekarzom odpowiedział: ale Batman zatrzymuje się zawsze metr nad ziemią.

To nie jest wymyślona śmieszna anegdota, to wydarzyło się naprawdę, tak jak tragicznie prawdziwy okazał się 19 października br. w Łodzi, kiedy to w biały dzień, opętany nienawiścią do PiS-u zwykły człowiek, były taksówkarz, nie jakiś tam „szaleniec”, jak nazwały go media zastrzelił Marka Rosiaka asystenta europosła Janusza Wojciechowskiego a ciężko ranił nożem Pawła Kowalskiego asystenta szefa łódzkiego PiS posła Jarosława Jagiełły. Prowadzony w kajdankach przez miejską straż krzyczał jeszcze o nienawiści do PiS-u i o tym, że chciał zabić Kaczyńskiego, ale miał „za krótką broń”.

Nie sądzę, by wydarzenie to spowodowało wśród polityków Platformy Obywatelskiej, szczególnie u tych odpowiedzialnych za sianie nienawiści wobec PiS, zmianę na lepsze, tym bardziej po refleksji premiera Donalda Tuska o „jednostkowym tragicznym wypadku”, chociaż, jak przyznał, motywowanym politycznie.

Małgorzata Kidawa-Błońska tłumaczyła, że mogło się to zdarzyć wszędzie i odrzuciła zarzuty o agresywność PO w polityce, a tym samym o polityczną i moralną odpowiedzialność za tragedię. Zdaniem tej posłanki, agresja w polityce to przecież domena PiS. Jest to wyrafinowane przekręcanie faktów, odwracanie kota ogonem, stara zagrywka w stylu „łapaj złodzieja”.

„Wielka kampania nienawiści”, o której mówił po tragedii w Łodzi Jarosław Kaczyński, jest faktem szeroko i dokładnie udokumentowanym. Żadne pokrętne zapewnienia tego faktu nie zmieniają. Nawet to, że to zwycięzcy piszą historię. „Czyny i rozmowy”, jak z wiersza Miłosza, zostały już dawno „spisane” i wiemy, kto siał nienawiść, a kto był w olbrzymiej większości przedmiotem agresji. Kto niesprawiedliwie oskarżał, a kto się głównie bronił. Tak opisze to historia. W tym opisie znajdzie się wszystko, co uczyniła Platforma, łącznie z wypowiedzią posła Niesiołowskiego (niemal tuż po tragedii w Łodzi) o oddaniu Jarosława Kaczyńskiego „do psychiatryka”.

Ale jest też i druga, nie mniej odpowiedzialna od polityków siła sprawcza tego niebezpiecznie napędzającego się społecznego konfliktu, tej wojny polsko-polskiej. To media, przede wszystkim jedna bogata telewizja komercyjna i równie bogata prywatna gazeta oraz prywatne radio ponadregionalne, znani ze skutecznego podawania do sądów tych których piszą o nich prawdę. W sukurs przychodzą im niektóre bogate portale internetowe. „Jarosław Kaczyński po ataku atakuje” – tak w dniu tragedii zapowiadała kolejny „news” spikerka tej komercyjnej stacji, która od lat zajmuje się insynuacjami i komentarzami. Od niedawna ma też „swoją” partię polityczną, kierowaną przez gwiazdę jej programów – Palikota. Zapewne wspólnie nakręcano tę spirale nienawiści do PiS i braci Kaczyńskich. Dziś ludzi myślących w ten sposób jest już niestety bardzo dużo. „Kupili” serwowaną im przez media

„jedyną prawdę” i uważają ją za własną. Myślą i działają jak ten chłopiec, który był przekonany, że można być latającym Batmanem i zatrzymać się metr nad ziemią.

Ciężko będzie to odwrócić, bo kłamstwo zawsze dobrze się sprzedaje, a prawda bywa trudna i często bolesna. Może jest to już niemożliwe, bo niby kto miałby to zmienić.

Brak odpowiedzialności większości mediów za kształt naszego życia społeczno-politycznego bierze się stąd, że są jedną ze stron w tym polsko-polskim konflikcie. Wpłynęła na to ich geneza - niedemokratyczny początek tworzenia się prywatnych elektronicznych mediów w Polsce w pierwszych latach tzw. transformacji systemu z udziałem komunistycznych tajnych służb. Dawało to mediom bezkarne przekonanie o swojej kreacyjnej roli w tworzeniu wygodnych dla siebie zjawisk i faktów. Przekonanie, że bez zaangażowania się tych mediów nic w Polsce nie może się wydarzyć, także zmiana władzy.

Zwycięstwo PiS w wyborach parlamentarnych w 2005 roku oraz sukces prezydencki Lecha Kaczyńskiego, w tymże samym roku, zmobilizował i zjednoczył przeciwników dalszych suwerennych zmian w Polsce. Od tego momentu rozpoczęła się olbrzymia operacja polityczno-medialna wmawiania społeczeństwu polskiemu, że zaproponowane przez PiS i braci Kaczyńskich zmiany są niedemokratyczne i stanowią dla nich osobiste zagrożenie. Wielu zwykłych Polaków w to uwierzyło, jak w historię z fabularnego filmu, gdyż nie przychodziło im do głowy, że media mogą po prostu bezczelnie kłamać, a w tym

kłamstwie mają swój polityczny interes. Inni, przywiązani do swojej roli w PRL-u odnaleźli w kampanii nienawiści wobec PiS szansę na rewanż, zlikwidowanie raz na zawsze groźby lustracji i swoistą rehabilitację. Od tego momentu zaczęło się dzielenie Polaków na lepszych i gorszych, swoich i „tępe kaczkę” (Niesiołowski), wykształconych, zadowolonych i biedne sfrustrowane „mohery” (Tusk), na Polskę nowoczesną i zacofaną, proeuropejską i ksenofobiczną. To o tej drugiej Polsce mówił premier: „wyginiecie jak dinozaury”, a minister Sikorski zapowiadał: „Jeszcze jedna bitwa i dorżniemy watahy”. To Palikot przekonywał, że „każdy dzień prezydentury Kaczyńskiego przybliży nas do katastrofy”, a Bronisław Komorowski dywagował o „ślepych snajperze”, a potem, że „Przyjdą wybory prezydenckie, albo prezydent gdzieś będzie leciał i to się wszystko zmieni”.

Tych słów nie da się zapomnieć.

**Wojciech Reszczyński**

Autor jest komentatorem w programie 3 Polskiego Radia

206Nasz Dziennik 20.10.10